

J A C E K K R A K O W S K I

Ś M I E R Ć O Ś W I C I E



J A C E K K R A K O W S K I

ŚMIERĆ O ŚWICIE



Jacek Krakowski

Śmierć o świcie

Saga

Śmierć o świecie

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 2012, 2021 Jacek Krakowski i SAGA Egmont

ISBN: 9788726823301

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

- Pod koniec września przyjechałam do małej miejscowości Szalupy, położonej między Łabędzią Górą a Władysławowem, aby nieco odetchnąć morskim powietrzem. Znajomi mojej matki prowadzili tam pensjonat „Albatros”, o tej porze roku zazwyczaj ziejący pustką, więc pomyślałam sobie, że zaznam parę chwil spokoju, zanim znowu wpadnę w wir męczącej pracy. Niestety, nadzieja spędzenia kilku dni w ciszy i odosobnieniu okazała się równie płonna jak ucieczka od codziennie nękających mnie problemów...

Laura Sawicka, moja kuzynka i absolwentka Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie, zamyśliła się, popatrując w okno, za którym sypnął właśnie pierwszy listopadowy śnieg.

- Mimo moich próśb o dyskrecję, znajomi prowadzący pensjonat, Urszula i Lucjan Bukowscy, nie omieszkali przedstawić mnie podczas kolacji, co wywołało pewną sensację wśród nielicznie zgromadzonych i zapewne dość znudzonych pobytom gości „Albatrosa”.

- Może właściciele liczyli na to, że przyjezdni zostaną dłużej?

- Nie wiem, w każdym razie siedem osób siedzących przy kolacji wodziło za mną natarczywymi spojrzeniami, które nie ustawały podczas całego posiłku.

- I nie ma się czemu dziwić - powiedziałem, przygotowując dzbanek znakomitej herbaty twinings lady grey - młoda, piękna policjantka to prawdziwa gratka w opustoszałym pensjonacie.

- Wujku - obruszyła się kuzynka - nie przyjechałam tam, żeby robić za gwóźdź programu. Co innego, jeśli pojawiłby się słynny autor kryminałów.

- Tylko bez tego sarkazmu, moja droga, znam swoje miejsce w szyku. A poza tym, gdybym jesienią chciał pojechać nad morze, wybrałbym raczej Kretę albo Cypr, a nie jakieś tam... jak powiedziałaś? Szalupy?

- Tylko bez uszczypliwości, drogi wujku - odparowała mój cios Laura. - Nie pojechałam tam po to, żeby... obnażać się pod rozpalonym słońcem niebem. Nawiasem mówiąc, opalanie się, szczególnie w twoim wieku - zawiesiła głos, przyglądając się sceptycznie mojej posturze - jest bardzo szkodliwe dla zdrowia. Chciałam tylko trochę odpocząć i zastanowić się nad różnymi osobistymi sprawami, a tymczasem...

- Dopadli cię pozbawieni rozrywek kuracjusze - roześmiałem się. - Pod koniec sezonu nawet drobne wydarzenie urasta do rangi niesłychanej atrakcji.

- Nie przypuszczałam jednak, że zostanę wplątana w odrażającą i makabryczną historię. A tak chciałam spędzić tydzień w spokoju, rozkoszując się szumem morza, nad którym nie byłam od dobrych kilku lat. Tymczasem od razu musiałam natknąć się na trupa.

- Dobrze, dobrze - powiedziałem, podając Laurze filiżankę aromatycznej herbaty - po kolei, moja droga. Przyjechałaś popołudniowym pociągiem z Olsztyna z dwiema przesiadkami: w Gdyni i w Wejherowie...

SOBOTA

1

Z zanurzonej w głębokim jarze stacyjce Łabędzia Góra można było dojechać okrężną drogą do Szalup jedyną taksówką, stojącą przed niewielkim, zapuszczonym dworcem, bądź wspiąć się po stromym zboczu i iść na skróty przez dziko rosnące łąki. Wybrałam to drugie wyjście. Zarzuciwszy plecak na ramiona, wdrapałam się po ciągnących się zakosami schodach z próchniejących belek, by potem ścieżką, łagodnie spływającą poprzez sosnowe zagajniki, chaszcze i wykroty, podążać w stronę widocznej z daleka latarni morskiej.

Popołudniowe niebo w odcieniu głębokiego turkuszu znaczyły gdzieś baranki lekkich chmur, których krawędzie jarzyły się blaskiem starego złota, jakby niewidzialna ręka powoli przypiekała puszyste obłoki w ogniu zachodzącego słońca.

Szłam, wdychając głęboko powiewy ostrego powietrza, przesycone tym specyficznym, orzeźwiającym zapachem morskiej bryzy, budzącym rojenia o podróżach pełnych awanturniczych przygód, gdy za kolejnym zakrętem piaszczystej drogi nieomal zderzyłam się z idącym z naprzeciwka mężczyzną.

– Przepraszam panią, moja вина – powiedział łagodnym, jakby wyćwiczonym w grzeczności głosem, uchylając kapelusza. – Pani do „Albatrosa”? Państwo Bukowscy wspominali, że spodziewają się jeszcze jednego gościa.

Dzień dobry, jeszcze raz przepraszam. Pani pozwoli, że się przedstawię: Eligiusz Milius.

- Bardzo mi przyjemnie - odparłam - Laura Sawicka. Przyjechał pan odetchnąć morskim powietrzem?

Miał może ze czterdzieści lat, brunet średniego wzrostu o bardzo bladej twarzy i zmęczonych, piwnych oczach wyglądał na człowieka nazbyt przepracowanego, któremu należy się dłuższy wypoczynek. W wełnianej ciemnej jesionce i czarnym kapeluszu przywodził na myśl solidnego urzędnika państwowego zatrudnionego na wyższym stanowisku albo raczej faceta, który właśnie takie wrażenie chce wywrzeć na innych.

- Niestety, nie... - jego usta wykrzywił kwaśny uśmiech. - Wyszedłem trochę się zaaklimatyzować. Przyjechałem do pracy.

Nie miałam ochoty nawiązywać z nikim bliższych kontaktów, jednak grzeczność nabyta w domu nakazywała mi podtrzymać rwącą się konwersację.

- Może jako ratownik? - spytałam, zastanawiając się przy okazji, czy woda w morzu pod koniec września będzie jeszcze na tyle nagrzana, że da się trochę popływać.

- Jestem przedstawicielem handlowym firmy „Widok” - odparł po chwili. - Mamy w październiku wymieniać okna w całym pensjonacie. Muszę dokonać pomiarów. Im szybciej to zrobię, tym lepiej.

- Piękna pogoda - zauważyłam, wystawiając twarz do słońca, które właśnie wychynęło zza coraz bardziej czerwieniejących chmur.

- Nie dla mnie. Płacę za pobyt z własnej kieszeni - rzekł, pochyliwszy głowę Eligiusz Milius. - Właściciel firmy pokrywa tylko koszty przejazdu służbowym samochodem.

- Żyjemy w czasach kapitalistycznego wyzysku - zażartowałam, potknąwszy się o kamień, a on spojrzał na mnie i powiedział z całą powagą:

- Nie chcę być jego jeszcze jedną ofiarą. Moja praca nie daje mi ani satysfakcji, ani pieniędzy.

- Rozważa pan możliwość emigracji?

Dmuchnął przez nos, wzruszając ramionami.

- W moim wieku? Niech pani nie żartuje. Zresztą nie ma dokąd. Wszędzie kryzys...

- Widocznie ten typ tak ma - próbowałam jakoś lekko wybrnąć z tej, przyznaję, coraz mniej sympatycznej rozmowy.

- Najdziwniejsze - odrzekł po chwili pan Eligiusz - że ludzie zgadzają się na taki stan rzeczy, nie widząc w tym niczego podejrzanego. Przepraszam, może poniosę pani plecak, to jeszcze kawałek drogi.

- Nie dam - oświadczyłam ze śmiertelną powagą - przenoszę w nim... intratną kontrabandę. Jeszcze by pan z nim zwał.

Myślałam, że moje żarty jakoś ocieplą atmosferę, ale Eligiusz Milius, pochylił plecy, wbił dłonie w kieszenie płaszcza i milczał, jakby moje odzywki w ogóle do niego nie docierały.

- Proszę pana, halo! - zdobyłam się na śmiałość.

- Houston, mamy problem...

- Słucham? Ach, tak - rzekł z wymuszonym uśmiechem - znam to powiedzonko. Mamy problem... rzeczywiście, kosmiczny.

- Zamierza pan uczestniczyć w podboju kosmosu? - kontynuowałam tok moich, jak mi się wydawało, pełnych niewymuszonej swady dowcipów.

- Ja? Co też pani...

Zauważyłam, że tak daleko błądzi myślami, iż mój dobry humor w ogóle do niego nie dociera. Jeszcze bardziej pochylił plecy, idąc wpatrzony w poprzerastane zwiędłą trawą koleiny łagodnie schodzącej w dół drogi.

- Podbój, też coś - mruknął ni to do siebie, ni to do mnie.
- Raczej ślepy traf, zbieg okoliczności...

Niespodziewanie wyprostował się i zwróciwszy twarz w moją stronę spytał niezwykle serio:

- Jakby to pani nazwała, gdyby niespodziewanie przed panią otworzyła się jedna, jedyna możliwość odmiany losu?

- Czy ja wiem? - odrzekłam, zastanawiając się, o co naprawdę mu chodzi. - Zależy czego by to dotyczyło?

- Przyszłego życia - powiedział cicho.

- Nie wiem... Mógłby to być równie uśmiech fortuny, co podstępna manipulacja. Zawsze trzeba brać pod uwagę alternatywne rozwiązanie...

Zamarł, jakbym swoją odpowiedzią trafiła w jakieś ukryte sedno dręczącej go sprawy.

- Wkrótce wszystko się zmieni - odezwał się po dłuższym czasie, wpatrując się wręcz wzorcowo w dal poczerwieniałego nieba. - Mam coś na oku...

Nie chciał powiedzieć, co, a ja się nie dopytywałam, bo w końcu nic mnie to nie obchodziło.

Jego eleganckie lakierki, zupełnie nieodpowiednie na tego rodzaju wycieczki, pokrywał szary pył, wyglądający jak miazga zmielona morska sól, przylegająca jaśniejszymi łatami do wypastowanych czarnych butów. Pomyślałam sobie: niewłaściwy człowiek na niewłaściwym miejscu.

Nie oponowałam, kiedy pan Eligiusz po raz drugi zgłosił chęć poniesienia mojego coraz cięższego plecaka. Zupełnie jakby cały ten nadmorski czas, poczynając od opuszczenia pociągu, spływał do mojego bagażu piachem minut niczym do dolnego naczynia klepsydry, która i tak lada chwila zostanie odwrócona.

Lekki wiatr niósł zapach soli i jodu. Słońce kryło się za granatowymi cieniami nadmorskiej skarpy. Nasze dwie ciemne sylwetki nakryte amarantową kopułą nieba, zmierzały w stronę wyłaniającej się spod nadbrzeżnego

masywu kamiennej bryły pensjonatu „Albatros”. Połyskując śliską jasnością okien dawała nam skryte znaki, przywołując ku sobie pokrzykiwaniem mew i poszumem fal niewidocznego jeszcze morza.

2

- Jak się masz, moja droga!

Urszula Bukowska wybiegła mi na spotkanie.

- Dzień dobry pani, a może właściwie już dobry wieczór...

- Kochanie, nie mogłaś zadzwonić?! - zawołała, obściskując mnie ze wszystkich stron. - Lucjan wyjechałby po ciebie samochodem.

- Chciałam się przejść - odparłam, nie bardzo wiedząc, jak się do niej zwracać - a przy okazji poznałam bardzo miłego pana...

- Pan Milius gości u nas już drugi raz - oznajmiła, nie kryjąc swojej radości. - Wiesz, omawiamy sprawę wymiany okien.

- Mam nadzieję, że transakcja dojdzie wreszcie do skutku - rzekł z nieszczerym uśmiechem pan Eligiusz, podając mi plecak.

- Pan wybaczy, muszę zająć się nowym gościem - odparła z samozadowoleniem pani Urszula. - Kochanie, idziemy! - dodała nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Chwyciła mój plecak, popchnęła mnie dłonią w kierunku mrocznej sionki i zatrzasnęła drzwi przed nosem usiłującego pójść za nami Miliusa.

- Wprowadziłam cię bocznym wejściem, żeby nie wywoływać niepotrzebnego zamieszania - mówiła, zmuszając mnie do energicznego marszu po dość stromych schodach.

- Ale pan Milius...

- Palant - oświadczyła za moimi plecami, gdy już docieraliśmy na pierwsze piętro. - Nie można się z nim dogadać. Toleruję go tylko dlatego, że to daleka rodzina mojego męża.

- Wydał mi się całkiem sympatyczny - odparłam, rozglądając się po okrągłym holu.

- Nieudacznik - odchrząknęła znacząco - nie cierpię tego rodzaju... osobników. Zarażają innych swoim pesymizmem. Zawsze patrzą do tyłu, obawiając się, że ktoś na nich dybie - mówiła z krytycznym lekceważeniem pani Urszula - dlatego nigdy nie widzą, co im los zsyła.

Otworzyła kluczem drzwi i weszła pierwsza, krótkimi, opanowanymi do perfekcji gestami nadając ostateczny szlif porządkowi zanurzonemu w błękitnym półmroku pomieszczenia.

- Wchodź, droga Lauro i niczego się nie obawiaj. Na pewno będziesz zadowolona. Przygotowałam dla ciebie doskonały pokój z widokiem na morze.

Pani Urszula mimo swoich sześćdziesięciu lat była osobą niezwykle energiczną i wysportowaną. Trochę zbyt młodzieżowa i zbyt entuzjastyczna jak na mój gust, przypominała mi modernistyczną Młodziakową z „Ferdydurke”. Szczupła, fertyczna, w granatowym, dopasowanym do zgrabnej sylwetki kostiumie, sprawiała wrażenie surowej bizneswoman, trzymającą żelazną ręką całe przedsięwzięcie.

Matka uprzedzała mnie, że to właśnie Urszula faktycznie rządzi tym pensjonatem, a jej mąż, Lucjan, spełniający rolę księcia małżonka, we wszystkim podporządkowuje się żonie. Być może z wrodzonego lenistwa, a być może z wygodnictwa, które pozwala mu bez przeszkód uprawiać jego hobby: spisywanie rodzinnej historii rodów Bukowskich i Grabowskich, z którego pochodzi jego żona.

Urszula jednym rzutem oka sprawdziła czystość łazienki, po czym starannie wymierzonym ruchem dłoni pociągnęła za sznur od zasłon, które momentalnie rozjechały się na boki, odsłaniając scenografię mojego pobytu: bezmiar nieba i morza płonący na horyzoncie.

Niewielki jednoosobowy pokój na pierwszym piętrze pachniał czystością. Przez narożne, wykuszowe okno można było zarówno przyglądać się zmiennym kształtom obłoków, jak i obserwować sunące ku brzegowi ruloniki fal, które ożywały w pobliżu kamienistej plaży rozbryzgami piany.

- Cisza morska - westchnęłam - oaza spokoju... Mam nadzieję, że wreszcie trochę odpocznę.

- Moja droga, gdyby tu szaleli sezonowi goście, nigdy bym cię do nas nie zaprosiła - odparła Urszula Bukowska, przyciskając dłoń do dłoni - ale sama widzisz, jaki o tej porze panuje spokój. Inaczej nie śmiałabym cię tutaj ścigać... Oczywiście ja poniosę wszelkie koszty.

- Mowy nie ma - powiedziałam zdecydowanie - pracuję i stać mnie na to, żeby płacić za siebie. Proszę tylko powiedzieć...

- Później, moja droga, później, może przy wyjeździe. Na razie czuj się... jak u siebie w domu. Aha, kolacja o siódmej - dodała rzeczowym tonem.

- Usiądziesz, gdzie będziesz chciała. Jak pewnie zauważyłaś: tłoku u nas nie ma.

- Dużo jest jeszcze gości? - spytałam, rozsznurowując buty turystyczne.

- Niewielu - odparła wyraźnie niezadowolona, sprawdzając ponownie czystość mikroskopijnej łazienki - ale co robić, martwy sezon. Dwoje zbytnio niehałasujących studentów, babcia z wnuczkiem, no i ta... - odchrząknęła z dezaprobatą - artystka ze spalonego teatru i jej nowy kochanek.

Nie dopytywałam się specjalnie o personalia, bo w gruncie rzeczy ci ludzie w ogóle mnie nie obchodzili. Rozpakowałam plecak, postawiłam na półce kilka książek, które miałam zamiar wreszcie przeczytać, wzięłam prysznic i odświeżona po męczącej podróży zeszłam na kolację.

3

Półokrągła jadalnia, a właściwie przeszklona weranda z widokiem na zachodzące słońce świeciła pustkami. Przy samym oknie siedziała niska, otyła kobieta w tandetnej białej bluzce ozdobionej kolorowymi dżetami, a obok niej tłukący nogami o stół równie spasiony chłopiec lat około sześciu z grzywą rudych włosów, opadających na oczy. Postanowiłam trzymać się od nich jak najdalej.

Jeden ze stolików pośrodku jadalni zajęła młoda para: dziewczyna mniej więcej w moim wieku, wymiękła i skwaszona blondynka bez makijażu, w pulowerze koloru spleśniałego sera, obok niej chłopak, nieco starszy, szatyn, nawet dość przystojny, ostrzyżony na jeża, w spranej dżinsowej kurtce założonej na wymięty podkoszulek.

Obok drzwi usadowił się znany mi już przedstawiciel handlowy firmy „Widok”, Eligiusz Milius. W szarym garniturze, białej koszuli i fioletowym krawacie wyglądał nobliwie i dystyngowanie.

Już miałam podejść i usiąść przy jego stoliku, gdy z trzaskiem tworzyły się dwuskrzydłowe oszklone drzwi i wparadowała przez nie para, rzekłabym, co najmniej oryginalna.

On niczym model, za którym uganiają się paparazzi: wysoki, muskularny, niezwykle przystojny blondyn w poprzecieranych markowych dżinsach, w dopasowanej, podkreślającej rzeźbę sylwetki żółtej koszuli i fioletowym,